

Nazywam się Walendziuk Józef, urodziłem się 6 stycznia 1933 r. Mieszkam w Zaciszu i tu zawsze mieszkaliśmy. Ojciec był rolnikiem z wykształcenia, ukończył szkołę rolniczą w Czyżewie. Otrzymał to gospodarstwo za to, że był ochotnikiem w wojnie 1918-20 r. Ziemia ta była rozparcelowanym majątkiem p. Kawelina. W domu była prawdziwa polska atmosfera, bo rodzice katolicy, wierzące.

W 1939 r. miałem iść do szkoły, ale wojna wybuchła. Moje starsze rodzeństwo chodziło do szkoły i ja już przed wojną umiałem czytać z elementarza. Niewiele pamiętam z wkroczenia tu władzy radzieckiej, utkwił mi w pamięci taki moment. Była taka impreza, po rusku się nazywało miting, w Kamionce, w szkole. Przyjechali samochody i brali mieszkańców, wieźli, żeby to zobaczyć. Pamiętam taki obrazek. To było takie jakby przedstawienie. Rosyjski żołnierz mówi: "Boh, daj pierog. No i co?! Wy mówicie, że jest Bóg, a Bóg pieroga nie daje. Sowiecie, daj konfiet!" I Rosjanin z torby wysypał cukierki. "Widzicie! - mówi - sowiet to znaczy ma".

Teraz chciałem opowiedzieć, jak zostaliśmy wywiezieni na Syberię. 10 lutego 1940 r. przyszli rano, jeszcze spaliśmy. Ojca w tym czasie nie było w domu, był w Białymstoku. Przyszli enkawudziści i osoby cywilne, z tego całego zarządu, jaki był w Kamionce. To byli nawet mieszkańcy Kamionki; nie wiem, czy poszli na współpracę, czy im kazali, czy był przewodnikiem. Obydwaj ci panowie nie żyją. To był p. Lisowski, był fornałem w majątku w Kamionce, a drugi to był p. Kiersnowski. Za czasów okupacji rosyjskiej to oni byli działaczami ludowymi - jak to się wtedy mówiło.

Żołnierze kazali zbierać się z drobnym majątkiem: ubranie, pościel, rzeczy osobiste, Nawet był wieprz zabity i żołnierz radziecki powiedział do matki: "Co dasz radę, bierz, to się tobie przyda, bo wy jedzicie nie nakrótko, a na zawsze".

Zima była mroźna. Posadzono nas na saniach, nasz skromny dobytek, bo gdyby ojciec był, więcej można by wziąć. Co matka dała rady, poładowała na sani i powieziono nas do stacji w Żedni. Tam stały takie

wagony, takie bydłące. Nie pamiętam, ile tam dni staliśmy. Z naszej wsi na 16 rodzin zabrani zostali wszyscy (wykaz wywiezionych załączony). Jak jedna rodzina, najwyżej jak kogo nie było wtedy w domu.

W wagonach ciemno, po kilka rodzin, nasze toboły pozrzucone na jedną kupę. Porobione prycze po obu stronach wagonu i na każdej pryczy po dwie rodziny. Tam też leżał nasz majątek. Na środku stał piecyk żelazny, było nawet względnie ciepłowato. Wagony pozamykane - nikogo ^{nie} wypuszczało się ani nie wypuszczało, na zewnątrz strażnicy, enkawudziści.

Chyba tego samego dnia wrócił ojciec i zobaczył, co się dzieje, a nawet sąsiedzi po drodze ostrzegali go, żeby nie wracał, bo "cię zabiorą". Ale ojciec przyjechał swoim koniem, saniami do Żedni. "Tam, gdzie jest rodzina - powiedział - tam i ja będę!" Wpuścili ojca do wagonu.

Po dwóch, trzech dniach skompletowany transport ruszył w drogę, w nieznaną. Jadąc przez tereny polskie nie wypuszczali nikogo, nawet po wodę. Potrzeby naturalne załatwiał się w wagonie, stał taki pojemnik. Natomiast po przekroczeniu dawnej granicy Polskiej to już wagony się otwierały, każdy załatwiał swoje potrzeby bezpośrednio pod wagonem, koło wagonu, bo nie wiadomo było, kiedy pociąg ruszy dalej. Jak się nauczyliśmy tego terminu, to mówiliśmy "O, stoi strzełok". Wraz wszystkich zapędzano do wagonu, zamykano.

Odżywianie. Kto co miał do jedzenia ze sobą, to jadł. Wodę, już na terenach rosyjskich, dawano, taką gorącą, zagotowaną - kipiatok. Na stacji ~~węzłowej~~ ^{pociąg} się zatrzymuje i przedstawiciele wagonu z kosewkami czy wiadrami szli po gorącą wodę, by zrobić coś jeść.

Podróż trwała na Syberię około 3 tygodni, bo gdzieś na początku marca byliśmy już na miejscu. Wyładowali nas z wagonów, wieźli samochodami, później na saniach. Stacja węzłowa nazywała się Tajszet, nie wszystkich tam wyładowali, część pojechała dalej. Był tam jakiś tor kolejowy, chyba trasa kontynentalna, i pojechali. Nas zawieźli do posiołka Toporek - później okazało się, że była tam fabryka nart. Wsadzili nas do takich dużych baraków. Było takich ogromnych baraków

12. Były też takie mniejsze jakby dwurodzinne. My mieszkaliśmy w baraku nr 22. Z obu stron baraku wąskie, niewielkie drzwi, cały podzielony na mniejsze klatki - około 2 metry na 3. Tylko takie ściany, bo pod sufitem nie było już zagrodzone. Przy ~~ka~~ ścianie stały prycze - 4 półki do spania. Baraki zbudowane z ułożonych bel, bez fundamentów ani podwaliny. ~~Każde~~ gdzie się drzewo na ziemi...

Poprzednio baraki były zamieszkałe przez więźniów. Jak myśmy przyjechali, jeszcze była brama wjazdowa, wieżyczki dla strzeżników, jeszcze gdzieś druty kolczaste. Później to już wszystko rozebrali, ale brama wjazdowa została. Trudno powiedzieć, co to byli za więźniowie, bo zaraz ~~żeśmy~~ wiedzieli, bo jak to dzieci zaraz ciekawe... Prowadzą ich w dwóch rzędach, ~~z~~ przodu idzie wartownik, po bokach też wartownicy, na smyczach psy. I ci łachmaniarze - może nie tak powiedziane - ale w łachmanach to szło, w fufajach. Ich wyprowadzili - jak opowiadali nasi rodzice - zaraz po naszym przybyciu. Tajga obok. Na wiosnę ich zabrali i w głuchą tajgę. Później był pożar w tajdze, akurat tam, gdzie byli więźniowie - opowiadał mi ojciec. Matka i ojciec tam poszli. Można było tylko wtedy z nimi spotkać się bezpośrednio, bo tak pilnowali, a my jako "wolni obywatele", a oni więźniowie. Więźniowie wtedy podawali swoje nazwiska ("Jak nie zabudiesz... to daj znać rodzinie, że tu jestem"). Innym znowu razem - w lecie jagód w tajdze pełno, to matka wzięła nas i sąsiadów dzieci i poszli. Tajga, las, żadnej drożyny, nic, a tu nagle otwiera się wieś. Przestrzeń, wyrębana tajga, baraki, kolczaste druty... Kiedyś sobie nie wyobrażałem, co to znaczy więźniowie, czemu więźniowie. Wiedziałem, że w więzieniu ktoś siedzi, ale żeby tyle ludzi, z tysiąc było...

Gdyby człowiek wiedział... Mój ojciec to kompletował pewne dokumenty. Jeszcze na Dolnej Udacznej... Mogą poświadczyć to synowie Aleksandra Puchalskiego, bo on był kierownikiem ogrodu. Z chłopakami ^{przez} chodziliśmy do ogrodów kraść i za ogrodami był opuszczony obóz więźniów. Znalazłem tam duże książki z nazwiskami. Ojciec to schował, ale

potem my chodzili do szkoły, to my pisali na tym...

Baraki stały tak jak w ruskiej wsi, a te nowe, ogromne stały rzędem, jeden obok drugiego o jakieś 10-15 metry. Takich stało 6. Nasz barak, nr 2, stał~~z~~ zaraz bezpośrednio przy bramie. Nr 1 to był sklep - kooperatywa. Bliżej bramy wjazdowej stał magazyn, tzw. instrumentała, bo tam wydawano narzędzia robotnikom, którzy szli do tajgi ciąć drzewo. W sklepie sprzedawany był tylko chleb na kartki, choć z ciekawości i chęci kupna wszyscy chodzili.

Przydzielili ^{na krtki} pół kilograma chleba na dziecko, ^(znaczy) na niepracującego, i kilkogram na pracującego. W pierwszym okresie nie pamiętam, za co kupowało się chleb, ~~zapałki~~ może jakaś forma przydziału była. W każdym bądź razie, pamiętam, że w tym sklepie był chleb, zapałki, papierosów chyba nie było i taka kawa zbrylona. Skąd ona się tam wzięła, nie ~~przekazam~~ wiem. Przed tem nie dało jej się kupić, tylko jak ta kooperatywa się spaliła, to takie większe chłopcy włązili tam przez okno i wyrzucali ją na podwórko, to my co który dał rady zwędził to brał i w nogi. I taka kawa zbrylona była, słodka jakby chałwa, tylko że czarna i krucha.

Jeszcze jednym, nieodzownym, budynkiem była katałaszka - areszt. Zaraz za kooperatywą był taki budynek, gdzie mieściła się komendantura i jednocześnie obok areszt. To jest w każdej większej wsi - gdzie ~~je~~ jest jakiś zarząd, jest i obowiązkowo areszt. Ja byłem za mały, żeby tam siedzieć, ale starsi moi koledzy - pamiętam - siedzieli za kradzieże, co się dało ukraść do jedzenia. Bo cała podstawa życia tam to żeby można było zjeść. Każdy tego pragnął... Wiem, że pod okno do tego aresztu chodzili, jak kto siedział, to wtedy nas stażnik pędzał. Chyba ta katałaszka pustkami nie świeciła, zawsze ktoś tam siedział.

Dalej w kierunku na łąźnię była stołówka. Soczewicę, taki płaski groch, z wodą dawali, a ta woda taka ciemna od tej soczewki. Raz dziennie dawali, ale ile, nie pamiętam, czy talerz, czy wiaderko... Wiem, że to do domu przynosili. W baraku były dwa żelazne piecyki i

22 rodzin musiało ułożyć sobie grafik gotowania,

Ojciec chodził do lasu do pracy, jakoś zaraz po przyjeździe, bo - o ile pamiętam - na zaadoptowanie czasu nam nie dali. Chodził z piłą albo siekierą, a matka na samochody ładowała metrami. Siostra jeszcze nie miała 18 lat, chociaż 16 lat, jak bardziej wyrosnięty, to szedł do roboty, bo mógł już otrzymać kilogram chleba. W Kwitku była fabryka nart, ale mój ojciec tam nie pracował, pracowali sąsiedzi: Puchalski Aleksander, Nikodem Grzegorzczak, Dąbrowski... A mój ojciec później przeszedł do pracy w straży pożarnej. w tartaku.

Warunki sanitarne. Czy ja wiem, co można w tamtym okresie nazwać warunkami sanitarnymi? To nie jest do określenia... Bo ubikacja wspólna, a resztę gdzie kto może. Łaźnia była. Chałupa, taki domek. Pali się w piecu, woda się grzeje w kotłach. Kamienie wmurowane w piec nagrzewają się. Na gorące kamienie leje się wodę, para bucha na łaźnię, robi się ciepło, parno. A tam półki, stojaki, leżaki... Jak jest miejsce, można się położyć. I to ^{cała} łaźnia.

Odwszalni nie było, a wszy!... Zmora to wstydliva... Do dziś, jak w głowę się podrapię, to sobie przypominam. Nie było rodziny, by wszy nie opanowały. Wszy w głowie, wszy w ubraniu. W Polsce było w miarę, ale tam wszy nikt się nie wstydził. Normalne... Siadają, jeden drugiemu w głowie takimi drewnianymi łopatkami duszą. A koszula - gdzie szef, może ktoś nie uwierzy, może ktoś źle pomyśli. Polaków nie widziałem, żeby tak robili, ale Rosjanki to tak robili - z dziecka koszulę zdejmie, tam gdzie szef zębami jak maszynką przejedzie, zdusi, zdusi, zdusi zębami... Resztę wyłuska...

Chorowali ludzie. Różne rodziny zostały wywiezione... Byli bardziej zasobniejsi, ale byli i biedni, np. wywożono takiego nauczyciela, leśniczego czy gajowego, to on tylko miał ubranie. Przez ścianę mieszkali, pan Denisiuk, prawosławny, rodzice mówili, że to był działacz komunistyczny przed wojną. Ale z jakiego powodu go wzięli?! To była rodzina inteligencka. Jak się stawało na pryczy, jak się zobaczyło, to u nich cały koszt naczyń, z Polski zabrali. Ale to jeść nie dawało.

P. Denisiuk nie wrócił. Chcieli go zaraz tam zamknąć - jak mówiono - że to działacz komunistyczny, ale z Polski, "to nie nasz działacz". Poszedł do kantora, tam pracował i tam po jakimś czasie zmarł, pewnie z wycieńczenia. Przestał chodzić do roboty, leżał... Bo to człowiek nieprzyzwyczajony; bardziej zaradny był taki człowiek, który w Polsce na wsi pracował... My tam nauczyli się wszystkiego...

Był jakiś punkt lekarski, bo pamiętam, w lecie 40 r. jak mnie bolak zęb, to matka gdzieś mnie poprowadziła. Więcej nie chorowałem. A dużo ludzi zmarło. Jak przyszła wiosna, to trumna stąd, to stąd. Cmentarz pamiętam - chodziło się, jak kto umarł. Nie było takich pogrzebów jak u nas, że sąsiedzi zebrani, rodzina. Tam wynoszono trumny - dwie, trzy osoby. Zakopali. Bez księdza. Księdza w ogóle u nas nie było - o! takich ludzi to zabierali! - jak to się mówi - w "lepsze" miejsca, izolowali. Jak wyjeżdżali z Toporka, to cmentarzysko było już duże.

Zaczął panować tyfus, krwawa biegunka. Młodym to dyla z wycieńczenia się zdarzało (starszym rzadziej) kurza ślepotą. W dzień widzi, wieczorem nie widzi. Nawet Puchalski swego syna, który teraz jest miał przedwojenne gimnazjum i poszedł do wojska w Sielcach, oficerem, to z roboty wieczorem za rękę prowadził do domu. W mojej rodzinie siostra chorowała na tyfus, ja - na krwawą biegunkę, ale to już na Udaczoje.

Potem zmieniliśmy miejsce zamieszkania. Najpierw na Górnej Udacznej, ale ~~tylko~~ tam mieszkali tylko tydzień, dwa. To wszystko było w okolicy, tylko inny obóz, w rejonie Kwitka, Toporka. Taki obóz zorganizowany, wybudowany przez więźniów, nowy obóz. Bo już Górna Udaczna to stare budowy. Nie pamiętam, ile było baraków, myśmy mieszkali w siódmym. W naszym baraku pod nr 1 mieszkał Puchalski. To były baraki nowoczesne, ogromne. Przez środek korytarz, ściany nie były już prętami dzielone, tylko ściana trwała - do sąsiada nie można już było zajrzeć, światło elektryczne (na Toporku też było, bo były ogromne taktaki i maszyna parowa uruchamiała prądnicę). Pomieszczenia jakieś 4-metrowe. Każdy miał już swoje drzwi, bo na Toporku nikt nie

miał swoich drzwi ani ścian, tylko wysoki płot. Każdy sobie jakimś kocem czy płachtą zawiesił, ale jak szedł komendant, co się dzieje w domu.

Z naszych mieszkańców było tu kil(ak) rodzin. Puchalski to nawet zamieszkał za protekcją, bo było tam wolne mieszkanie, a on był czynnik społeczny - każdy barak miał taki czynnik społeczny, który ma nadzór nad stanem, bo nawet były wypadki, że od zwarcia pożar powstał. Byli też: Grzegorzczuk Nikodem z trzema synami i córką, Cieśluk chyba też. Później każdy szukał miejsca, gdzie lepiej.

Zaczęli sadzić ogródki, przy domach były kawałki ziemi, zaczęli do lasu chodzić po jagody. Parę ziemniaków posadzili, jeszcze były niedojrzałe, ale każdy - żeby szybciej kopać. I zaczęła się krwawa biegunka, a nie było żadnego lekarstwa. Matka przyniosła od lekarza żyżkę ryżu - u nas więcej dają antybiotyków. Kazał to rozgotować i podawać kleik, żeby złagodził żołądek. To był chyba nasz najgorszy okres. Siostra też zachorowała na tyfus. Chyba z nią chodzono do lekarza, ale leżała w domu - matka ją pilnowała. Cudem wyszła, bo jak kto zachorował na tyfus, to już pewne było, że nie żyje. Dużo ludzi zmarło, nas jakoś śmierć ominęła. Ojciec był chłop obrotny ~~ni~~ i potrafił... Tam dalej były wsie ruskie, to jak szedł do roboty, brał prześcieradło czy jakąś makatkę, czy bluzkę, co było - zakandlował i i wymienił no coś do jedzenia.

Byli tu tylko Polacy. Sprzedawca w sklepie był Rosjaninem. Polacy elektrownię budowali. Nawet polski mechanik - p. Krewin - też był. Znał się na maszynach parowych. Był też taki chłopak - elektryk, Pronczuk, mieszkał na Kucharówce (wrócił do Polski).

Ojciec znów zmienił miejsce zamieszkania, przyjechaliśmy na tartak, bo ojciec dostał tam lekką pracę - komendanta straży pożarnej na tartaku. I tam zamieszkaliśmy - w Tartaku Toporkowskim... Było tam kilka domów i robotnicy przychodzili tam tylko do roboty. Był tam jeszcze budynek jakiegoś zarządu, nasz dom - komendanta straży

no i starżnica z koniem i wozem.

Poprawiło się trochę życie, bo koń dostawał rację owsa, a owsa można było omleć i zrobić kisiel, utłuc owsa w moździerz. Tam ludzie coś robili z niczego, co zdawało się niezjadliwe.

To był ogromny tartak, na dwa gatry, a esek ogromne sterty. Drzewo przewożono końmi, bo samochody tam nie mogły dojechać. Droga w tajdze zrobiona z drzewa - koń idzie po ziemi, a pod koła zrobione jakby szyny. Raz konie padły, wychudzone, bo siana wiosną już nie było, to brzołowymi takimi ^{Wywieźli} motłami karmione były. ~~Kyrzmxixix~~ te konie, bo trzeba je było gdzieś zakopać, oblać, spalić. Jak tylko je przywieźli, to starsze chłopcy z nożami, który tylko dał rady odkroić kawał. I tu ich pędzają, a oni z tym kawałkiem gnata do odmu. Nawet w tym wierszu mój ojciec to uwypuklił, że dzieci jak szakale ze zdechłego konia mięso obdzierali. (Wersji tego wiersza jest kilka. Nie upieram się, że to autorstwa ojca, ale u ludzi jest po kilka zwrotek, a u mnie dwa razy więcej; może ojciec dopisywał).

Warunki?... Warunki nigdzie tam nie były dobre. Kiedy zdjęło nad nami władzę NKWD, kiedy przejęli władzę cywile, kiedy przestaliśmy być już więźniami, można było zmienić miejsce zamieszkania, ale tylko na danym terenie, w obrębie tylko ~~jednej~~ ^{sz} gminy. Ławsze się trochę polepszyło, bo tu już mieszkali samodzielnie - swój domek, swoje drzwi, swoje okno, kawałeczek ziemi.

Gdzieś w 42, jak w Moskwie zaczął organizować się Związek Patriotów Polskich, już można było poruszać się po Rosji w dowolnym kierunku, aby tylko nie ~~na zachód~~ ^{sz} na zachód. Można było na wschód - jedzie ile chcesz, na północ... bodaj po Otajbo~~x~~, bo to... niedaleko. Nie tak daleko, nie tak blisko - na tamte odległości. Ludzie piechotą tam chodzili. Otajbo - kopalnia złota, Czeremchowo - 80 kilometrów, kopalnia węgla przy trasie kontynentalnej. Mówiono, oferowano, że tam lepiej, że tam lepiej, ale ojciec od tej trasy kontynentalnej na Władywostok od Irkucka daleko nie odchodził. 30 kilometrów, 9 od niej mieszkali. Część Polaków naszych wyjechało do Krasnojarska, jak Grze-

(Łoś)

gorczyk, Hancewicz. Jedną rodziną wyjechała na południe aż koło Almax Aty, tam przynajmniej ciepło, ubrania nie trzeba było nosić.

Już wtedy listy zaczęły chodzić, bo wcześniej za NKWD była chyba zakazana. Ojciec wysłał list do rodziny w Polsce, nawet paczka przyszła jedna, druga... Jak masła, mąki trochę czy słoniny solonej, to trzeba było zaraz dla sąsiadów po kawałeczku zanieść - ojciec był taki udzielny.

Na tyle tysięcy wywiezionych to tam było i profesorów, i zwykłych nauczycieli, i dyrektorów, ludzi wykształconych było. Jak już NKWD zdjęło swoją komendanturę, zorganizowali polskie szkołę na Kwitku. Myśmy tam nie mieszkali, było daleko, więc ja tam do szkoły nie poszedłem, nawet moje siostry nie chodziły. A może to było więcej kilometrów bo pewien Rosjanin, strażnik, miał sanie urządzone na dwa psy i tam go woziły. Nawet robotnicy stamtąd nie przychodzili na tartak, tylko z bliższych miejsc. ~~Dokładnie było to...~~ ^(8-10 kilometry) administracyjny rejon, obłast Irkucka, Kujtujskij rejon. Stacja Kujtu, a stamtąd 30 kilometrów.

Chyba Na wiosnę w 42 r. zaczęliśmy się rozjeżdżać, każdy szukał chleba. Mój ojciec z zawodu rolnik i postanowił szukać chleba tam, gdzie zboże sieją. Dostał kontrakt i pojechał 120 kilometrów na wschód, od Tajszetu po trasie. Zajechali tam normalnym pociągiem. Przyjechali do ziarnosowchozu "Harik"; z naszej wsi pojechały tylko 2 rodziny: Sokólski i my. Pojechali z Żedni Kōzłowski, jeszcze p. Władysław Olchowik, były gajowy spod Supraśla, z dwiema ^(Jrema i...) córkami i dwoma ^(Władysław i...) synami. ^{(jeden (kiedy) zmarł)} Przyjechaliśmy do gospodarstwa zajmującego się tylko uprawą zbóż, a Sokólski został na mlecznej farmie, filli hodowli krów; został tam takim nadzorcą polowym.

Był to nowy sowchoz, ~~nne~~ kołchoz. Dostawało się pół kg chleba na robotnika, 200 gram na członka rodziny. W lecie, kto chodził do roboty, dostawał zupę - owsiankę lub inną kaszę, bez okras, ale i taka

smakowała. Każdy tam siał w swoim ogródku. Jak tylko kapusta wyrosła albo taka rzepa ścierniskowa, to się chodziło w nocy z workiem kraść.

Zamieszkaliśmy w taki m większym baraku, bo chałup pojedynczych było mało, dostał taką p. Olchownik. Warunki trochę się polepszyły, bo po przyjeździe dostaliśmy ileś kilogramów kaszy, mąki. Ziemniaków nie było, bo sowchoz nie prowadził, każdy indywidualnie sobie siał. Życie poprawiło się na tyle, że mieliśmy swoją działkę. A jak kartofle już były, to wtedy: kartofle pieczone, żnięte, smażone, bułki robione... To było życie, jak na ówczesne warunki, to był luksus - nie było już głodu.

Była to stara wieś, przedrewolucyjny chutor, ale starych chałup zostało zaledwie kilka. Mieszkali tam jeszcze Rosjanie pamiętający ten majątek. Ludzie tam z całego świata. Na lato sprowadzano młodzież z Irkucka, ze szkół... Już w ostatnim okresie, po zakończeniu wojny, to i wojsko przywozili do zbierania. A lato tam gorące bezdeszczowe, krótkie, a zima długa.

Matka zaczęła pracować jako kucharka w lecie; była tam taka ston na przewoźnych Łówka ~~на прикормных~~ wagonach, kocioł na trójnogu, woda z beczkowitzu. Nasypało się kaszy, się mięszało i zupę dla traktorzystów się woziło. Chleb natomiast każdy dostawał, piekarnia była w innej miejscowości, 7 kilometrów od nas.

Kontakty z Rosjanami dobre, co chcesz... Już w 42, 43 r. można było rozmawiać, z kim chcesz. Dobre też współzycie było z rdzennymi mieszkańcami, Czełdonami - tak ich tam nazywali, miejscowy naród, jeszcze nieskończeni. Z Rosjanami... Cóż, naród wychowany z dala od wszystkiego, od kultury, od myśli, wychowany do pracy... Chyba że jaki młody się zbuntuje, chce jeść albo że mu zimno... Raz przywieziono takich młodych, 18-letnich traktorzystów, dziewcząt też. Nie ma w co się ubrać, jeść, a trzeba iść do roboty. To zbuntowali się - "My nie pójdziem, bo my głodne!" Jak głodne, to... ich raz, przyjechał samochód i zabrał... Gdzie ich zabrali i co z nimi zrobili, nie wiem.

Jak nas przywieźli, to zakwaterowali nas w takim klubie i wtedy nie tylko młodzi Rosjanie, ale i stare przylecieli pod okno oglądać Polaków. I wyszli rozczarowani - taki to sam naród jak my. A oni myśleli, że Polaki to jakiś inny naród.

Siostra zaczęła pracować jako goniec, poczmistrz, ojciec jako agronom, matka jako kucharz w lecie, zimą jako stróż magazynów zbożowych. To już zaczęło się wieść. Pszenicy nie można było mleć, ale nanosić i na płycie jego tak podpalić...

Zacząłem chodzić do ruskiej szkoły, wszystko po rosyjsku. Książka była jedna - w IV klasie do historii. Jeszcze pamiętam jak dziś - wykreślony był ~~Blücher~~ Blücher, taki działacz komunistyczny. Jego nazwisko było zamazane i przekreślone i napisane - "wrog naroda".

W szkole traktowali nas, Polaków, jako równych, nawet - można powiedzieć - lepszych. Nie przypominam sobie, aby coś złego spotkało mnie ze strony kolegów, nauczycieli (jeden nauczyciel uczył 5 klas). A przecież było nas tylko dwie rodziny. (Proszę dokładnie ustalić, gdzie Pan chodził do szkoły i ilu było uczniów Polaków).

W domu mawiało się po polsku, a na ulicy czy w szkole prawie w ogóle.

Na początku przyjeżdżało do nas NKWD, później już nie. Zabierają z całego Toporka mężczyzn i zapowiadają zebranie, że występuje delegat rosyjski... To było komentowane później w każdej naszej rodzinie - "Ot gada!" A on: "Polskich panów już nie ma!", "Polsza wasza z cze-modanami poszła!", "Już teraz włast' będzie sowiecka!". Taka była propaganda, że Polska jest wymazana. Później, jak powstał ~~ZPP~~ZPP, to znów były wiece, ale bardziej legalnie już Polacy się zbierali. I później ci sami ludzie nie mówili, że się pomylili...

Najstraszniejsza była zima. Siostra pracując w sowchozie dwa razy pocztę woziła w tygodniu, a resztę pracowała przy hodowli cieląt czy wianiu ziarna. No i raz ją wyprawili zimą po siano, gdzieś tam w stogach było to siano. Nadeszła taka syberyjska fala mrozów, że co żyje,

a nie schowane, to ginie. To wtedy ona zmrzła. Pojechali rano. Rosjanie byli w walonkach, w kożuchach, a ona tylko w butach. Przywieźli ją - można powiedzieć - nieżywą. Miała nogi odmrożone, twarz... Matka ją obmywała, obcierała. Pomagali sąsiedzi - już oni tam wiedzą, co zrobić. Będąc po tyfusie teraz zachorowała na zapalenie płuc. Leżała w domu, potem zawieźli ją do rejonu, do Kujtuna, tam chyba ze 3 tygodnie leżała. Wyszła z tego, ale później zdrowie. Po powrocie to był człowiek do... Aby żyć... Do roboty już niezdolny. Tyfus... zapalenie płuc...

Kujtun?

Jak już powstał ZPP, czekali jak zbawienia powrotu do Polski. My jako dzieci. Pamiętałem dobrze Polskę, ale jednak Polska była dla mnie czymś nowym... Teskni się, ale... Przecież pamiętałem, jak się jadło. Bo jak matka czasem kupiła mleka, to dawała tak, jak Rosjanie piją - gorąca woda i się wlewa na szklanke łyżkę mleka. "Ty daj dla mnie - mówię do matki - łyżkę mleka, ale takiego, jak ja kiedyś piłem. Nie takiego z wodą..." Bo to u nich taki zwyczaj.

Brak chleba. W jesieni były żniwa. Tam jak kłos w jesieni upadnie na ziemię, to on trwa do wiosny w niezmiennym stanie, nie ma gnici. Wisną palą słomę po kombajnach, bo u nas już 4 kombajny było - już taki niby lepszy sowchoz), to nie wolno zbierać kłosów, nawet i ... dzieciom. Czemu? Nie lzja! Gania, jeździ konno i gdzieś zobaczy, to A ściernisko pali się i kłosek leży osmołony, pachnący, taki fajny, dymowy taki. A leży ich dużo. I ganiają się, że tych kłasków nie wolno zbierać. Do dzisiaj nie mogę dojść do ładu, dlaczego?, bo jak dziś kłos leży na polu, to sobie nie wyobrażam, żeby nie można go było podnieść i zjeść...

Przyszła normalna mobilizacja do Berlinga, bo pierwsza do Andersa, nas ominęła - za daleko mieszkali na wschodzie. Szybko wiadomość docierała przez radio. Było trochę śmiazków, niezależnych, bez rodzin, którzy potrafili uciec aż na południe i tam do Andersa. Kogo złapali, posadzili - tak przynajmniej opowiadali - niektórych wrócili z powrotem, ale przeważnie nic... Do berlingowców już normalnie. Przyszła karta mobilizacyjna dla ojca. Mało tego - przyszła i dla matki i jej

nie było trzy dni, sami zostaliśmy, ale wróciła. Ale jakim prawem?! Przecież matka była starsza - 6. Olchowik była młodsza, ale jej nie wezwali może dlatego, że mniejsze dzieci miała. No i ojciec wyruszył. I zginął pod "enino, kiedy? , o godz. 11, koło wsi Mołosiewo i został tam pochowany we wspólnej mogile. Kiedyś chciałem tam pojechać, ale pewnie ważniejsi mogli tylko jeździć.

Wszyscy Polacy - tak, jak pamiętam - kiedy można było już się zbierać, sąsiad do sąsiada chodził. Jak jeden - już jutro do Polski jechali! Ktoś tam powiedział, że za miesiąc... I w ludziach była taka jakaś moc, nadzieja, że jutro, że za miesiąc... I może tą nadzieją ludzie sobie wypłakali... w jesieni / czy zimą Później w 45 r. raz przyszedł fałszywy termin powrotu. Odwiezli nas do Kajtuna na punkt zbiorczy, tydzień posiedzieli i przywieźli. Okazało się, że z dalszych miejsc nie zwieźli wszystkich Polaków, na budowach, co byli. Już do roboty nie chodzili. Dwa czy trzy tygodnie... I na wiosnę 46 r., w kwietniu, bo wrócili po 20 maja do Polski, wyruszyli. Jechali 4 tygodnie. (Czy dobrze daty? Kiedy dokładnie wypadł fałszywy termin, kiedy wyjazd - na pewno nie nastąpiło to w odstępie kilku tygodni, jak Pan podaje. Proszę o dokładną datę.)

Przysłali zawiadomienia od ZPP, żeby jechać i wracać. Załadowali do wagonów. Napiekliśmy bułek ziemniaczanych, ale poszło wszystko. Ale jak nas wieźli, to dawali unrowskie jedzenie. ↵

Dojechali do Brześcia, tam znów nas przeładowali - też na wagony cielece. NKWD grzecznie się zachowywało. Pociąg się zatrzymuje - oglądano, ile pociąg będzie stał czy w Omsku, czy w Tomsku, czy Krasnojarsku. Kierownik pociągu już i polski, i rosyjski, kultura...

Człowiek cały czas ma ten żal ukryty, podświadomie... To jakoś człowieka nurtuje. Po powrocie człowiek był taki jakby nijaki. Bo trzeba iść do szkoły polskiej, a tam uczyłem się po rosyjsku od podstaw. Umiałem czytać po polsku, ale pisać nie za bardzo... Całe nasze pokolenie było takie jakby niedoważone. W Polsce do szkoły, do życia jakby za późno - kończyłem 7 klas mając 18 lat. Tak samo moi koledzy.

Niektórzy poszli do technikum, jest kilku inżynierów, podpułkownik jeden jest, już na emeryturze... Ale coś takiego nam zabrano, czegoś nam zabrakło.

Nie mogę powiedzieć, że moja rodzina była święta, nie. Ale ojciec i matka byli to ludzie pobożni... Pewnie i wiara i, ~~W~~ nadzieja pomogły, że kiedyś do Polski powrócimy. Mój ojciec był taki bystrowaty facet, ale i umiarkowany. Myślał takimi kategoriami - co jest możliwe. I chyba ta nadzieja nam pomogła. Rano i wieczorem pacieź... Wiara w lepsze.

Trzeba powiedzieć, że mieszkańcy naszej wsi, to nasze społeczeństwo było ^{tam} zgrane, może jak nigdzie. Przed wojną zorganizowana w naszej wsi była samopomoc na wypadek jakiegoś nieszczęścia. I to nam tam pomogło.

Cieśluk Antoni, ur. 1897

Pelagia, żona

Teresa, 1930

Ryszard, 1932

Dąbrowski Józef, 1896

żona Elżbieta,? , zmarła w Rosji chyba na tyfus, w Krasnojarsku

syn Stanisław, ok. 1921, mieszka w Wasilkowie, oficer WP

córka ? zmarła w kraju

Denisiuk , ok.1902, zmarł na Toporku, kiedy?

Grzegorzycy Nikodem, 1898, cała rodzina na Toporku i Kwitku

żona Genowefa,

dzieci: Irena, 1926

 Witold, 1929

 Kazimierz, 1923

 Stanisław, 1934

Hancewicz Jakub, 1898 , cała rodzina wróciła

żona Leokadia, 1898

dzieci

Zenobia, 1927

Monika, 1930

Tadeusz, 1932

Hancewicz Jan, 1898~~6~~

żona Feliksa, 1902

dzieci

Hipolita, 1927

Zdzisław, 1929

Hipolit, 1933, zmarł w Rosji - gdzie i kiedy?

Kozłowski ?

Krewin ? Udacznoje, inżynier albo technik

Lewonowski Aleksander, przedwojenny oficer, także oficer w armii kościusz-
kowskiej, wrócił z całą rodziną

żona

córka

Łoś Dominik, ? , przedwojenny poseł ZSL, w 39 r. Sowieci od razu go wzięli i prawdopodobnie widziano go w Starobielisku i w Ostaszkwie; szukała go żona przez Czerwony Krzyż.

żona Emilia, 1910

dzieci

Wademar, 1934

Wiesław, 1935

Zbigniew, 1938 cała rodzina wróciła

Łoś Aleksander, ? , przedwojenny działacz, uciekł przed wywózką

żona Genowefa, ? , zmarła na zapalenie płuc chyba na Kwitku

dzieci

Eugenia, 1928

Zenon, 1923

Irena, 1936

Markowski Jan, ? , był działaczem i uciekł do Warszawy, ale w 45 UB wzięło i wywiozło do Ostaszkowa, wrócił w 47 r.

żona Jadwiga, ??

córka Celina, ?

Olchowik Władysław, ? , gajowy spod Supraśla

żona ?

dzieci

Władysław, 1923

Roman, ? , umarł, z głodu?

Irena

i jeszcze jedna córka?

Pronczuk Stanisław z Kucharówki, ?

żona ? , ? ,

Anna

? , została, bo wyszła za mąż za syna kierownika sowchozu.

Puchalski Aleksander, 1896, cała rodzina wróciła

żona Kazimierza,

dzieci

Czesław

Henryk

Pelagia

Wanda

Zenon

Krzyszyna, w Rosji urodzona gdzie i kiedy

Szczepański Zygmunt, 1898

żona Eugenia, 1902 czy 4

dzieci

Halina, 1925

Eugeniusz, 1929

Jacek, 1931

Hipolit, 193? , nie wrócił - czemu?

Szołkowski imię zmarł przed wojną

żona Maria

Wincenty, 1896

Anna

Ewa , nie wróciła zmarła na Kwitku

Maria

Jadwiga

Staniśław, , w czasie sianokosów, coś zjadł i zmarł

żona Staniśława

Trypeć , imię , ur.? , przedwojenna akuszerka

dzieci

Aldona, , wyszła z Armią Andersa, zginęła na froncie

Maciej

Walendziuk Alojzy, 1903, zginął pod Lenino

żona Anastazja, 1902

dzieci

Honorata, 1927

Lucja, 1930

Józef, 1933